



Miroslaw Neinert i Katarzyna Tlalka – aktorskie filary katowicko-krakowskiego „Dymitra Samozwańca”

**KATOWICE.** Premiera teatru Korez i Teatru Ludowego z Krakowa

# Dymitr dla średnio zaawansowanych

*Samozwańcom lepiej na kartach historii niż na scenicznych deskach. Połączone teatralne siły teatru Korez i Teatru Ludowego nie przyniosły artystycznej eksplozji. Choć dobrego aktorstwa nie brakowało, w „Dymitrze Samozwańcu” zawiodły niedostatki tekstu i inscenizacji*

**ALEKSANDRA CZAPLA**

Od pewnego czasu teatru Korez próbuje przyjąć rolę prowokatora śląskiej sceny. Pamiętam, jak premiera „Cholonka” miała być zaczeptym kijem wsadzonym w śląskie mrowisko, tymczasem bez najmniejszych kontrowersji powstał spektakl kultowy, wychwalany i nagradzany. „Dymitr Samozwaniec” bez dyplomatycznych zabiegów miał pytać wprost: jak to jest z tą sąsiedzką, miłosną nienawiścią wzajemną między Polską i Rosją. Ostatecznie miejsce prowokacji zajęła lekcja historii dla młodszych i niezaawansowanych.

Aby doczekać się na właściwe dwa akty Fryderyka Schillera, który dzieła swego nie dokończył, umierając w roku 1805, trzeba przebrnąć przez edukacyjne intro, którym raczy publiczność reżyser Piotr Szalsza. Z całym dobrodziejstwem inwentarza oglądamy zatem pokaz barwnych ilustracji, opatrzone historycznym komentarzem w pigułce, by wyjaśnić kto, z kim, kiedy, po co i o co wojował na przełomie wieków XVI i XVII. Ożywienie przynosi dopiero część właściwa, gdy dzinzy aktorów częściowo przykrywają szlacheckie szaty. O pełnym scenicznym sukcesie mówić jednak trudno.

Nie udało się usunąć wiekowej warstwy kurzu z historycznego dramatu Schillera. Wielkie namiętności i patetyczny język, mimo próby współczesnej reanimacji, nijak mają się do dnia dzisiejszego, nie pozwalają na empatię, czasem tylko śmieszac odrobinę, gdy pokazują historyczne ułomności zarówno po stronie polskiej, jak i rosyjskiej. Wobec słów, które padają ze sceny, dominuje obojętność. Zaś jeśli nieistotne jest to, co aktorzy mówią, pozostaje przyglądać się temu, jak mówią – i to jedyna pociecha w „Dymitrze Samozwańcu”.

Miroslaw Neinert, balansując między komizmem i powagą, pozostaje sobą, puszczając oko do publiczności jako

„wojewoda” sceny własnej, nie zaś szlacheckich majątków. Przyjemnie podglądać przemianę Katarzyny Tlalki, która z młodej kobiety wodzącej za nos dowolnie wybranych mężczyzn, w drugiej części spektaklu zmienia się w matkę Dymitra. Tlalka, dobierając trafnie środki aktorskie, w okamgnieniu starzeje się o kilkadziesiąt lat. Teatralną niespodzianką okazuje się Hubert Bronicki, który ze swoim scenicznym temperamentem i słowiańskim fizys powinien sprawdzić się w przyszłości w klasycznym repertuarze, choć z absurdem mu także do twarzy, wspominając chociażby krakowską „Choinkę u Iwanowów”.

Dymitr Samozwaniec, domniemany syna Iwana Groźnego, cudownie ocalały od śmierci, przejmujący władzę na Kremlu z pomocą Polski – nawet jeśli to intrygujący temat dla badaczy historii, to w jego dzisiejszą atrakcyjność dla teatralnej publiczności wątpię.

*Teatr Korez w Katowicach oraz Teatr Ludowy z Krakowa. Fryderyk Schiller „Dymitr Samozwaniec”. Adaptacja i reżyseria: Piotr Szalsza. Obsada: Jagoda Pietruszkówna, Katarzyna Tlalka, Stanisław Berny, Hubert Bronicki, Miroslaw Neinert, Piotr Piecha, Dariusz Stach. Premiera katowicka: 4 grudnia 2005 r.*